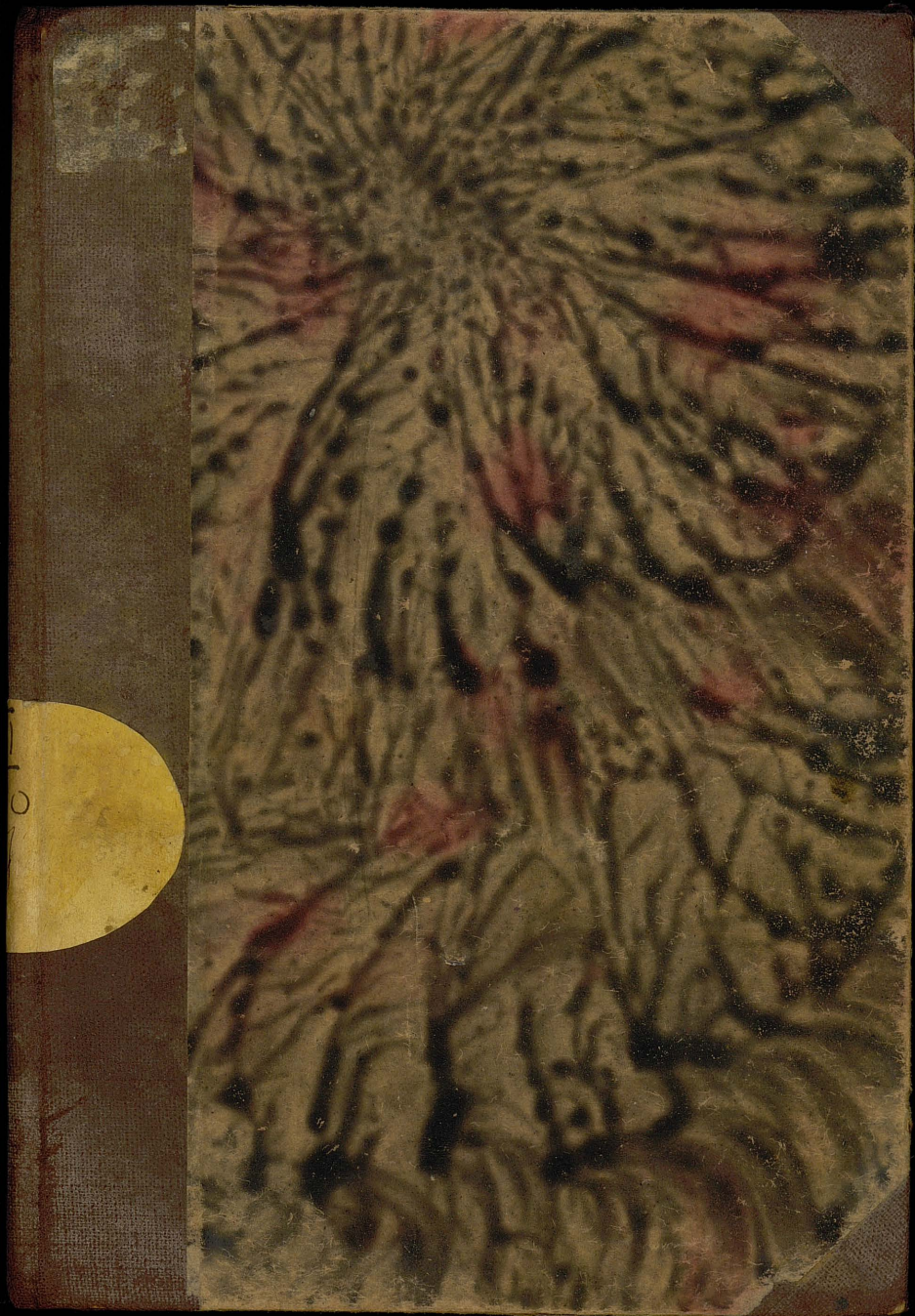
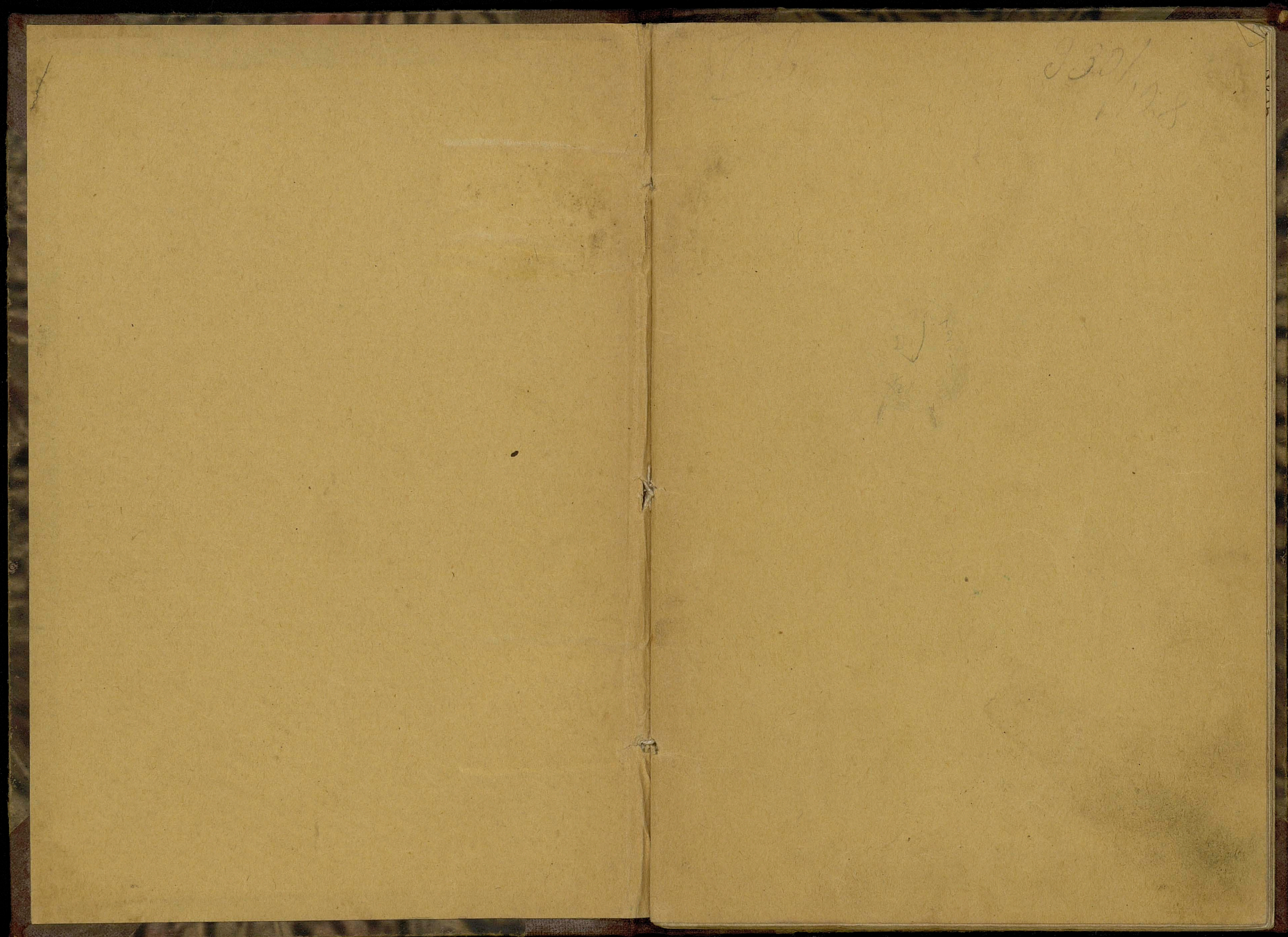
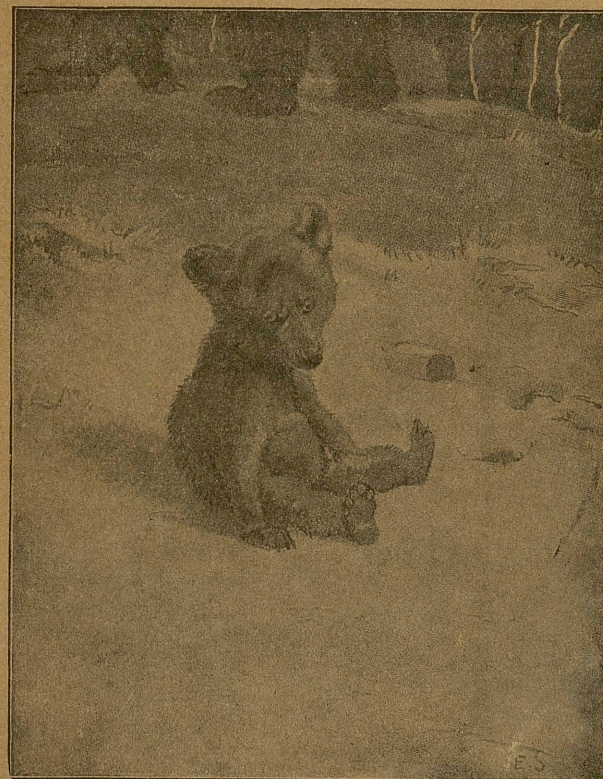






ERNEST SETON THOMPSON

5746 10978-990
D. J O C H
DZIEJE MAŁEGO NIEDŹWIEDZIA



WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

1307
194
128

ZAJMUJĄCE CZYTANKI PRZYRODNICZE Nr. 2

ERNEST SETON THOMPSON

J O C H

DZIEJE MAŁEGO NIEDŹWIEDZIA
W PARKU YELLOWSTONE

PRZETŁUMACZYŁA

MARJA ARCT-GOLCZEWSKA



1-KL SZKOŁA POWSZĘCHNA

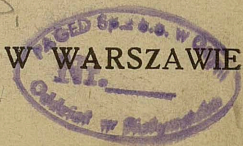
im. A. ...

w Białymstoku

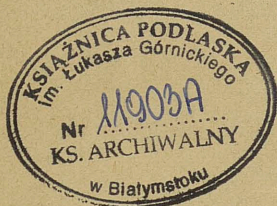
wp
dnia ... 19 ...

Nb

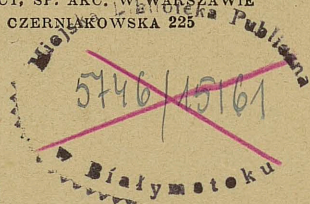
WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE



DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKÓWSKA 225

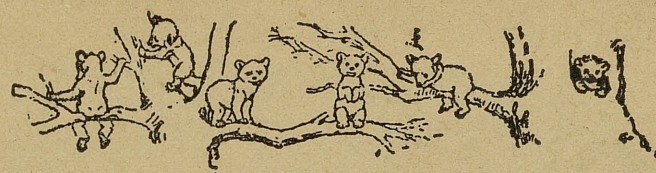


82A.111-93



820793 17/2

R. 146
16.3.48



J O C H

DZIEJE MAŁEGO NIEDŹWIEDZIA.

I.

J o c h było to małe śmieszne niedźwiedziątko, które z matką swoją Brumą żyło szczęśliwie w wielkim parku amerykańskim Yellowstone. Wspólnie z wielu innemi niedźwiedziami miały one pyszne schronienie niedaleko hotelu „Źródlanego“.

Kucharz hotelowy kazał codziennie wszystkie odpadki z kuchni składać w jedno miejsce w lesie, na karm dla zwierząt, żyjących w parku, tak że niedźwiedzie, dopóki hotel był otwarty, miały żywność zapewnioną. A że prawo zabraniało tknąć zwierzęta, które się chroniły w parku — ilość ich pomnażała się więc z roku na rok.

Niedźwiedzie żyły spokojnie i nikomu krzywdy nie wyrządzały, a nawet podsuwały się nieraz do kuchni hotelowej z zupełnie przyjacielskimi

zamiarami, a służba znała je dobrze i ponadawała im nawet nazwy, często bardzo trafne.



Tak np. Pająkiem nazywali pewnego niedźwiedzia cienkiego, długonogiego; Tłustochem — grubego misia, który nigdy nie mógł dość się nasycić; a Bliźniakami — dwa młode niedźwiedzie, które zawsze razem przychodziły i razem odchodziły. Najlepiej jednak znani byli Bruma i jej syn Joch.

Bruma odróżniała się od wszystkich swoich krewniaków wielkością i dzikością, a Joch, jedyny jej syn, odznaczał się zawsze złym humorem, gdyż nigdy nie przestawał mrużyć i pisać. Można było z tego przypuszczać, że był chory, gdyż młody, zdrowy niedźwiedź jest tak samo wesoły jak zdrowe dziecko, nie mające żadnych trosk. W rzeczywistości Joch wyglądał na chorego i żadne zwierzę w całym parku nie robiło bardziej żalostnego wrażenia. Cały wygląd jego świadczył o zepsutym żołądku, to też nie wydało mi się to dziwnym, gdy widział, jaką to mieszaninę potraw codziennie spożywał. Wszystko, co zobaczył, musiał pokosztować, a matka nie broniła mu niczego. Była to więc właściwie jej wina, gdyż mogła malcowi na wiele rzeczy nie pozwolić.

Joch miał tylko trzy zdrowe nogi, a skóra jego łuszczyła się i pokrywała często jakimś choro-

bliwami plamami, uszy i brzuch miał wielkie. Matka zdawała się nie widzieć tego i pieściła go



...cały wygląd jego świadczył o zepsutym żołądku.

nadzwyczajnie, ulegając wszystkim jego zachciankom. Joch wiedział dobrze, że jest „oczekiem” w głowie matki i potrafił zawsze tak pi-

szczęć i skomleć, że dostawał, co chciał, choć w rzeczywistości matka wiedziała, że mu niejedno szkodzić może. Był to więc rozpieszczony żarłoczek.

II.

Znajomość z tą oryginalną parą zabrałem w lecie 1897 r. Zatrzymałem się bowiem na czas dłuższy w parku, aby przyjrzeć się zbliska życiu rodzinnemu zwierząt, a zawiadomiono mnie, że niedaleko hotelu „Źródlanego“ mogę zobaczyć w każdym czasie niedźwiedzie, czemu niebardzo wierzyłem. Gdy jednak w kilka minut po przybyciu stanąłem przy drzwiach kuchennych, zobaczyłem w niedalekiej odległości wielką czarną niedźwiedzicę z dwoma młodem.



Stanąłem jak wryty. Niedźwiedzica przystanęła również i zaczęła mi się uważnie przyglądać, potem wydała kilka krótkich dźwięków, brzmiących jak „koff! koff!“ i wskazała łapą na opodal stojącą sosnę. Młode zrozumiały widać odrazu matkę i wdrapały się prędziutko na drzewo, siadły na gałęzi, tak jak to robią chłopcy i spoglądały ciekawie na dół, wymachując tylnymi łapami, a trzymając się przednimi.

Matka niedźwiedzica posunęła się z wolna na przód, aż wreszcie stanęła naprzeciw mnie, podniósłszy się na tylnych łapach.

Trochę zrobiło mi się nieswojo, zobaczywszy to wielkie zwierzę, wysokie na sześć stóp, ze wzrokiem wlepionym we mnie.

Nie miałem kija ani żadnej broni przy sobie, a gdy moja przeciwniczka wydała kilka groźnych dźwięków, zamierzałem skryć się w hotelu, choć zapewniano mnie przedtem, że niedźwiedzie w tym parku zawarły zupełną zgodę z ludźmi. Niemniej jednak strach mnie ogarniał. Niedźwiedzica zbliżała się do mnie coraz bardziej i oka ze mnie nie spuszczała. Chwilę wydawała się wahać, ale nagle zawróciła i zawołała na swych małych: „Er-r-r, er-r-r“. Posłuszne niedźwiedziątka zaczęły natychmiast schodzić z drzewa, zręcznie i spokojnie, a w chwilę potem znikły z matką w lesie.

Później spotykałem je dość często. — Ogromnie bawiły mnie te małe i ich posłuszeństwo rozkazom matki. Wszystko wykonywały, co tylko matka rozkazała; później przekonałem się, że nie bez powodu były takie posłuszne: oto bowiem, gdy tylko sprzeciwiły się jej woli lub zrobiły coś niestosownego, dostawały takie kłapasy, że głośny pisk biedaków rozlegał się po lesie.



Zaciekawiało mnie to życie rodzinne niedźwiedzi. Znajomi moi w hotelu radzili mi, ażeby, jeśli chcę jeszcze lepiej je poznać, udał się na miejsce uczt niedźwiedzich, a tam będę mógł napatrzeć się im, ile tylko zechcę.

Następnego dnia poszedłem więc bardzo wczesnym rankiem w owo odosobnione miejsce wśród gęstego jodłowego lasu, gdzie składano odpadki z kuchni, i skryłem się w zaroślach.

Nie trwało długo moje czekanie. Pierwszy przyszedł wielki czarny niedźwiedź i rzucił się z łapczywością na stos odpadków, wybierając z nich smaczniejsze kęski. Wydawał się bardzo podniecony i przy najlżejszym szeleście oglądał się trwożliwie; wkońcu podniósł uszy i galopem uciekł między drzewa. Jednocześnie ukazał się drugi niedźwiedź czarny i również trwożliwie zachowując się, uciekł, gdy poruszył nieco gałęzmi, chcąc lepiej widzieć.

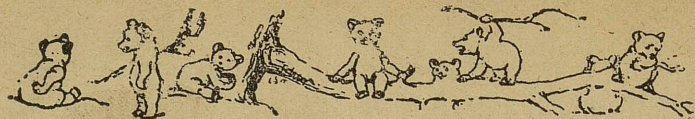
Z początku byłem sam trochę zaniepokojony, gdyż broni nie miałem przy sobie żadnej, a z takimi wielkimi stworzeniami spotykałem się po raz pierwszy. Bojaźliwość ich jednak dodawała mi otuchy i zaprzestałem myśleć o tem, że te zwierzęta mogłyby mi co złego zrobić.

Wkrótce przekonałem się, że zarośla, w których się skryłem, nie były dobrym punktem obserwacyjnym, i rozmyślałem, jakby się bliżej umieścić. Wpobliżu sterty odpadków nie było żadnych zarośli, przyszło mi więc na myśl ulokować się gdzie indziej; oto wykopałem dół na obszarze stosu odpadków i skryłem się w nim, a choć dusiła mnie cuchnąca woń gnijących części, a muchy dokuczały niemiłosiernie, wytrzymałem na stanowisku dzień cały, za co też zostałem sownie wynagrodzony. Widziałem sporo niedźwiedzi

i mogłem przyjrzeć się im niepostrzeżony. Gdyby każdy, który przychodził, był nowym osobnikiem, to naliczyłbym ich czterdzieści. Ale że na pewno wracały kilkakrotnie te same, przypuszczam, że nie było ich więcej nad kilkanaście, a w każdym razie trzynaście widziałem razem gospodarujących.

Cały dzień miałem z nimi robotę, wziąłem bowiem z sobą album i rysowałem każdą nową postać. W ten sposób zapoznałem się dokładnie ze wszystkimi. Wprawdzie twierdzą niektórzy, że wszyscy murzyni, a więc i wszystkie niedźwiedzie są do siebie podobne, ale mnie wypadło co innego. Bo i jakżeż przypuszczaćby można, że zwierzęta jednego gatunku nie różnią się między sobą. A jakżeżby się poznawały? Można śmiało powiedzieć, że tak, jak każdy człowiek odznacza się sobie właściwym wyglądem i charakterem, tak i każde zwierzę ma swoją indywidualność; przekonałem się o tem doskonale na moich niedźwiedziach i mogę zaręczyć, że wśród tej gromadki, którą poznałem, nie było dwóch całkowicie do siebie podobnych i z postaci i z usposobienia.

Ogólnie zaś to mogę zauważyć: prędzej usłyszałbym świergot sikor z odległości stu metrów, a nawet szelest liści, poruszanych przez skaczące wiewiórki, niż kroki zbliżających się niedźwiedzi. Te wielkie, ciężkie zwierzęta stąpały tak lekko i cicho, że nie poruszyły nigdy gałązki, ani nie zaszeleściły liśćmi — tak wprawnie i umiejętnie przebywały gęsty las.



III.

Przez cały ranek przybywały niedźwiedzie i niejednokrotnie przechodziły koło mojej kryjówki, na szczęście jednak nie zauważyły mnie. Pół dnia przeszło bez wielkich wrażeń, naszkicowałem tylko trochę postaci. O trzeciej po południu dopiero nastroczyło mi się kilka ciekawych obrazków. Oto przyszły najpierw cztery wielkie niedźwiedzie i oddały się skrzętnym poszukiwaniom w odpadkach; poznałem tę czwórkę z licznych opowiadań hotelowych.



Pośrodku usiadł Tłustoch i, wyciągawszy swobodnie obie tylne nogi, przedniemi grzebał wśród odpadków, albo, nie mogąc dostać łapami, pakował cały pysk do jakiejś nadtłuczonej filiżanki, w której musiał znaleźć smakołyki, gdyż cała jego fizjognomja wyrażała błogość i zadowolenie.

Za nim Pająk obrabiał homara, chcąc widać dobrze poznać się z budową jego ciała.

Obok Bliźniaki robiły przegląd porozrzucanych puszek od konserw. Z nadzwyczajną zręcz-

nością trzymały jedną łapą puszkę, a drugą zanurzały do jej środka przez otwór, i pomagając sobie przytem językiem, potrafiły oczyścić puszkę aż do ostatniej odrobiny.

Trwało to nieprzerwanie przez dłuższą chwilę, tak że mogłem dokładnie wszystko odrysować. Wtem zobaczyłem na wzgórku, skąd wszystkie niedźwiedzie przychodziły, dwie nowe postaci. Wielki czarny niedźwiedź szedł naprzód, a za nim posuwał się malutki. Była to widać matka ze swem dzieckiem, z opisu wydawało mi się, że to była Bruma z Jochem. Śpiesznie i cicho szła stara, a mały dreptał koło niej, mrucząc. Co chwila spoglądała niespokojnie na malca.

Będąc już w nieznacznej odległości ode mnie, odwróciła się ku malcowi i powiedziała mu coś, co z następnych ruchów jego dałoby się wyrozumieć tak: „zostań ty tu lepiej, moje dziecko, ja sama pójdę odpędzić tych żarłoków“.

Mały stanął i podniósł się na tylnych łapach, ażeby choć cośkolwiek zobaczyć.

W dumnej postawie podeszła niedźwiedzica do gromady, wydając groźne, ostrzegawcze tony. Ale niedźwiedzie tak były zatopione w swych czynnościach, że nie zwróciły nawet uwagi na zbliżającą się postać; dopiero, gdy na odległości 5 metrów wydała ponownie kilka kaszlących dźwięków—obejrzały się i, zobaczywszy, kto nadchodzi, bez namysłu porzuciły ucztę i podążyły zwolna do lasu. Pająk polecił się spokojnie swym długim nogom, Bliźniaki jakoś dotrzymywały mu

kroku, ale Thustoch, ledwie nogami powłócząc, jęcząc i mruczając, posuwał się zwolna naprzód i na nieszczęście swoje skierował się w stronę, gdzie stał malec. Widząc to, stara skoczyła ku niemu i, dawszy mu kilka tęgich klapsów, tak go przeraziła, że, wyjąc, pobiegł co sił starczyło za towarzyszami.

Niedźwiedzica została teraz panią całej jadalni. Przeciąglem „Er-r-r, er-r-r“ zawezwała swego jedynaka, i ten, nie dając się dwa razy zapraszać, w okamgnieniu był już przy niej. Oboje oddali się teraz wspaniałej uczcie, a malec tak zajął się wyszukiwaniem słodkich puszek, że zapomniał o mruczeniu. Z pewnością nie byli oni tutaj po raz pierwszy, bo zabrali się do sprawy umiejętnie i zręcznie. Z niektórymi puszkami z konserw miał Joch dużo biedy, bo ich ostre kanty kaleczyły mu łapy lub język. Jedna tylko puszka miała tak duży otwór, że mógł w niego wsunąć nawet głowę i językiem wylizać wszystkie kąciki. Lecz gdy chciał z niej głowę wyciągnąć — nie poszło mu tak gładko. Piszcząc, skowyczał, wzywał na pomoc matkę — ale w żaden sposób nie mógł się uwolnić z tego helmu. Wreszcie po długich wysiłkach obluzowała się pokrywka i malec uwolnił się, a złość swoją wywarł na puszcze natychmiast, zgniótłszy ją łapami napłask.

Nie odwiodło go to jednak od dalszych poszukiwań. Znalazł znowu piękną puszkę po syropie i wziął ją w obroty. Miała spory, okrągły otwór

o gładkich brzegach; wprawdzie nie mógł w otwór ten zmieścić głowy, ale włożył weń łapę i nią potrafił wybrać wszystkie słodkie reszeczki, oblizując łapę za każdym razem starannie. Ażeby to szło pośpieszniej, wpadł na myśl użyć do tego i drugiej łapy: gdy jedną oblizywał, drugą oczyszczał puszkę, tak że po jakimś czasie puszka wyglądała, jakgdyby w niej nigdy nic nie było.

Gdy z puszką skończył, odrzucił ją nabok i zajął się dalszemi poszukiwaniami. Zaintrygowała go bardzo połamana pułapka na myszy. Wziął ją w przednie łapy i oglądał na wszystkie strony. W pułapce znajdował się kawałek starego sera. Było to pewnie coś bardzo dobrego, czego zapach podrażniał apetyt niedźwiedziątka tak, że odważył się włożyć łapę w pułapkę. Nagle pułapka zatrzasnęła się i łapa go tak zabolala, że tylko dzięki swej wielkiej odwadze nie krzyczał o pomoc. Wyciągnął sam łapę, ale nie dał za wygraną i pułapkę dalej oglądał. Wreszcie udało mu się wsunąć język, zwinięty w rurkę, i wyciągnął kawałeczek sera, potem pułapkę zgniótł i odrzucił daleko.

Mały niedźwiedź wydawał mi się nienasycony: załatwiwszy się ze słodkimi puszkami, zabrał się do homarów, sardynek i t. p. konserw. Brzuch rósł mu jak balon, a łapy od tego ciągłego oblizywania wyglądały, jakby były w obciśniętych rękawiczkach.

Położenie moje nie wydawało mi się teraz bardzo bezpieczne. Niedźwiedziątko posuwało się

bowiem coraz dalej w okolicę mojej kryjówki i mogło mnie zobaczyć. A jest to wielka różnica przestraszyć niedźwiedzia, na którego głowie nie spoczywa odpowiedzialność za dobro rodziny, a przestraszyć małego, którego matka znajduje się w pobliżu.

Gdyby przypadkiem — pomyślałem — malec przysunął się w tę stronę i zobaczył mnie, stanąłby jak wryty, możeby zapiszczał, a matka pomyślałaby naturalnie, że ja mu coś złego zrobiłem, i, nie czekając tłumaczeń, oraz zapominając o przepisach parku — wywarłaby na mnie zemstę, na której myśl dreszcze mnie przejmowały.

Szczęściem dla mnie — wszystkie puszki znajdowały się przeważnie po drugiej stronie mojej kryjówki, mały niedźwiedź nie rozłączał się z niem, matka zaś nie opuszczała go. Wtem zobaczył, że matka jego trzymała w łapach jakąś piękną puszkę, na którą on miał ochotę; gdy podbiegł do niej, skomląc, spojrzał przypadkiem na pagórek i schował się nagle za matkę, wydając dziwny dźwięk: „koff, koff, koff!“.

Matka odwróciła się szybko, by zobaczyć, czego dziecko piszczy, i ja zwróciłem głowę również za jej ruchami. I — oto — ukazał się oczom moim olbrzymi szary niedźwiedź. Był to okaz, wyglądający jak omnibus futrem nakryty, który wolniutko poruszał się między drzewami.

Niedźwiedzica stanęła i, warcząc złowrogo, najeżyła się groźnie. Malec skrył się za nią, wysadziwszy nieco na bok łebek, a ja w swej dziurze starałem się zachować, jak mogłem, najciszej.

Wielkimi krokami posuwał się szary naprzód. Skóra zwieszała mu się z ramion, a płaszcz



...wielkimi krokami posuwał się szary naprzód.

srebrnoszary poruszał się na grzbiecie, co wszystko razem robiło imponujące wrażenie.

Czarne niedźwiedziątko wydawało dźwięki co-

raz żałośniejsze i ja chętnieby mu wtórował, gdybym się nie bał zdradzić swej obecności. Po chwili wahania matka zwróciła się do wyjącego malca i coś mu powiedziała, co dla mnie robiło wrażenie dźwięku „koff, koff, koff“, ale co miało prawdopodobnie znaczyć: „wejdź na drzewo, schowaj się“ — gdyż po chwili Joch wdrapał się na jodłę. Nie schował się jednak w gąszczu, lecz, chcąc pogodzić ciekawość z bezpieczeństwem,



wdrapał się na najwyższą część jodły, gdzie ledwie się mógł utrzymać. Widocznie jednak nie było mu tam nazbyt dobrze, bo nagle zawisnął przednimi łapami i zaczął pisać żałośliwie, a gałąź ugięła się pod jego ciężarem. Ja także byłem trochę w obawie, że gałąź złamie się, a wtedy niedźwiedziątko spadłoby niechybnie na mnie — jednakże gałąź okazała

się mocniejsza, niż przypuszczałem, albo też mały niedźwiedź potrafił tak się na niej urządzić, że ani jej nie puścił, ani drzewo nie trzasło.

Tymczasem niedźwiedzica zastąpiła drogę szaremu olbrzymowi i, najeżywszy futro jeszcze bardziej, wyjąc, pokazała mu wszystkie swe zęby. O ile mogłem zauważyć, szary niedźwiedź nie zwracał na nią zupełnie uwagi i śmiało zbliżał się do jadała, tak, jakby był zupełnie sam. Gdy stara znajdowała się już blisko niego, wydała przeraźliwy ryk, rzuciła się, jak wściekła, i zadała mu

cios w ucho. Na to szary odpowiedział machnięciem łapy, którem powalił niedźwiedzicę na ziemię. Nie zrażona tem Bruma rzuciła się jeszcze z większą gwałtownością na swego przeciwnika. Wzięły się obydwie za bary i zaczęła się zjadła walka. Tarzały się po ziemi i przez dłuższą chwilę nic widać nie było, tylko wśród kurzu jakąś olbrzymią masę, przewalającą się i wydającą przeraźliwe dźwięki. Nad tym hałasem górował jednak głos małego niedźwiedzia, który, siedząc na swej gałęzi, podbudzał matkę do walki.

Wreszcie po długich zapasach niedźwiedzie puściły się ze swych objęć i siadły naprzeciw siebie. Przez jakąś chwilę pozostały tak nieruchomie i bez tchu prawie.

Szary nie miał ochoty do dalszej walki. Nie patrząc więc na swoją przeciwniczkę, zabierał się do jadała, które przedewszystkiem znęciło go tutaj. Ale ledwie zbliżył się do drzewa, na którym siedział malec, stara, podejrzewając go o złe zamiary względem syna, znowu skoczyła ku niemu. Lecz tym razem był on wpogotowiu. Jednym silnym uderzeniem odtrącił ją tak, że uderzyła plecami o wystający pień ściętego drzewa. To uderzenie było tak gwałtowne, że i jej odeszła wszelka ochota do dalszej walki: teraz myślała już tylko o bezpiecznym schronieniu. Schowała się więc narazie za pień i czekała, groźnie mrucząc.

Szary olbrzym jednak nie dał się wygrać. Chciał dotrzeć do niedźwiedzicy i również skoczył w kierunku pnia. Ale niedźwiedzica zwinęła

niejsza była od niego i zawsze potrafiła tak się ustawić, że pień znajdował się między niemi. Szary, zmęczony tą gonitwą, usiadł wreszcie na tylnych łapach i zaczął przemyśliwać nad nowym sposobem zwyciężenia napastniczki — ta tymczasem skorzystała z odpowiedniej chwili, skoczyła na pobliską jodłę i wdrapała się na jedną z wyższych jej gałęzi.

Widząc to, mały, który całej tej scenie przyglądał się z wielką ciekawością, zlął nieco niżej, gdyż obawiał się, że matka będzie chciała wdrapać się na to samo drzewo, a gałąź, na której siedział, była bardzo niepewna. Szary patrzył na to wszystko przez chwilę.

Interesującą tę grupę naszkicowałem naprędce, ale miałem ochotę zdjąć z niej fotografię, ponieważ jednak odległość była za duża, wyszedłem więc ze swej kryjówki i stanąłem za drzewem. Była to jednak pozycja niedogodna, gdyż niskie gałęzie przeszkadzały i zupełnie nie mogłem dojrzeć niedźwiedzi. Czekałem więc sposobności, aby móc się wysunąć; ale gdy szykowałem aparat fotograficzny, niedźwiedzica spojrzała na dół i zaszczekała złośliwie.

Nie liczyłem się z groźącym mi niebezpieczeństwem i stałem na swym miejscu, gdy wtem usłyszałem jakiś obcy głos poza sobą:

— Panie, proszę uważać! Stara wygląda tak jakby chciała rzucić się na pana.

Odwrociłem się i zobaczyłem rządcę hotelowego, zbliżającego się na koniu. Przejeżdżał właśnie

w chwili, gdy tu rozgrywała się ta zajmująca awantura.

— Czy zna pan te niedźwiedzie? — zapytałem go.

— Naturalnie, że znam — odpowiedział. — Ten mały, co siedzi na wierzchołku drzewa, jest to Joch, wielki łakomca i wiecznie chory. Matkę jego nazywamy Brumą, bo ciągle warczy i burczy w obawie o życie swego jedynaka.

— Chciałbym teraz zdjąć ich fotografię — ale trudno mi to zrobić niepostrzeżenie.

— Ja panu pomogę. Pozostanę tu na koniu, i gdyby niedźwiedzica zamierzała rzucić się na pana, potrafię ją odpędzić!

Mówiąc to, rządcą przysunął się jeszcze bliżej, właśnie w chwili, gdy Bruma zabierała się do zejścia z drzewa, grożąc i wyjąc bezustannie. Ledwie znalazłem chwilę do zdjęcia jej fotografii, gdy niedźwiedzica, zląwszy z drzewa, uciekła do lasu. Joch pozostał sam. Wdrapał się znowu na gałąź i rozpoczął dawne swe wycie: „Wah, wah, ua, ua“ (co mogło znaczyć: „Oj matko, matko“).

Nastawiłem znowu aparat — ale malec nie chciał usiedzieć spokojnie i znowu zaczął kręcić głową na wszystkie strony, jak wtedy, gdy matka walczyła z szarym. Odwróciłem i ja głowę i ujrzałem szarego olbrzyma, zbliżającego się do mnie. Wprawdzie nie widać było po nim złych zamiarów, ale w każdym razie szedł prosto na mnie.

— To jest największy niedźwiedź w parku, —

objasniał mnie rządcą — ale dość spokojny. Dziś jednak rozwścieczony jest walką, może więc być dla nas nieprzyjemny.

— Muszę go sfotografować, — szepnąłem — stój pan przy mnie.

— Dobrze, — odrzekł również szeptem, — ale uprzedzam pana, że raz tylko uda mi się go odpędzić; gdyby zaatakował nas drugi raz — to lepiej schronić się na drzewo. Trzymajmy się więc tej jodły.

Nie było to wcale zachęcające, bo na jodle siedział Joch, i w okamgnieniu przedstawiłem sobie obraz, jak ja drapię się na drzewo, jak niedźwiedź wchodzi za mną, a na dole stoi szary olbrzym, aby rzucić się na mnie, gdy Bruma strąci mnie z drzewa.

Ocknąwszy się jednak, przytknąłem aparatem i miałem już szarego. Gdy ten znajdował się o jakie dwadzieścia metrów ode mnie, zdjąłem go powtórnie; szedł jednak niestrwożony dalej — ku mnie. Struchlałem: osiemnaście metrów — szesnaście — dwanaście — osiem — i ciągle bliżej — i coraz lepiej widziałem tę postać. Wreszcie stanął na odległość pięciu metrów i podniósł łeb, by zobaczyć, skąd pochodzą przeraźliwe krzyki Jocha, który ciągle był na swej gałęzi. Ujrzałem go wtedy z profilu i jeszcze raz sfotografowałem. Szelest ten doszedł do jego uszu — odwrócił się — a ja liczyłem już ostatnie minuty życia swego. Już, już widziałem przy sobie zielony błysk jego oczu i... oniemiałem... Szary wyciągnął potężną łapę — a ja zamknąłem oczy. Gdy po chwili

otworzyłem je, ujrzałem olbrzymia zajętego wyjadaniem puszek z pomidorami. Oblizął ją starannie i sięgnął po drugą, — nie zwracając uwagi na mnie, ani na ciągle wrzeszczącego Jocha.

Usunąłem się, pozostawiając w spokoju uczującego niedźwiedzia. Bruma znikła także — niewiadomo gdzie, a Joch, przekonawszy się, że nikt nie słucha jego pisku, zaprzestał go wreszcie, pomyślał sam o sobie i to nawet mądrzej, niż na to wyglądał.

Przyjrawszy się dokładnie, gdzie znajdował się teraz szary olbrzym, zlął cichutko z drzewa i podskoczył na swych trzech nogach na drugie drzewo, odpoczął chwileczkę i wdrapał się znowu na sam wierzchołek. Był on najmocniej przekonany, że jedynym celem przybycia wielkiego niedźwiedzia była jego osoba i że tylko nim był przejęty; a że stary niedźwiedź po drzewach łazić nie mógł, malec był więc dostatecznie zabezpieczony przed jego pazurami.

Z tego nowego posterunku przyglądał się znowu bacznie czynnościom szarego, który w rzeczywistości najmniejszej uwagi na niego nie zwracał. Mały znowu zlął cichutko, ale poto tylko, aby wdrapać się na nowe drzewo i by znowu z wierzchołka jego badać sytuację. Powtarzał to kilka razy, wchodząc coraz na nowe drzewo, jakby dla oszukania czujności swego mniemanego wroga — wreszcie znikł w lesie. Po chwili usłyszałem znowu jego charakterystyczny pisk, co było dowodem, że znalazł swą matkę i wrócił do dawnej roli rozpieszczonego jedynaka.

IV.

Niedźwiedzie mają zwyczaj karcieć swe małe, jeśli na to zasługują, i gdyby Bruma uznawała to, możeby miała mniej kłopotu ze swym malcem. Nie było prawie dnia w lecie, w którymby nie miała przez niego jakich zmartwień lub niepokoju, najgorsze było jednak to, co się jej przytrafiło wkrótce po awanturze z szarym olbrzymem.

Historję tę opowiedzieli mi najpierw trzej znani strzelcy górscy. Byli to ludzie bardzo prawdomówni, a zarazem znakomici strzelcy, mogłem więc wierzyć im w zupełności. Potem to samo powtórzyli mi słowo urzędnicy hotelowi.

Okazało się, że ze wszystkich puszek, znajdujących się wśród odpadków, najwięcej smakowały Jochowi te, na których wymalowane były wielkie śliwki — i tych najwięcej poszukiwał. Sam zapach tych puszek tak go podniecał, że przy nich zapominał o wszelkich innych rozkoszach.

Pewnego dnia, gdy kucharz piekł w kuchni placki ze śliwkami i wiatr poniosł ten zapach do lasu — dostał się on i do wrażliwych nozdrzy Jocha. Naturalnie zaczął nasz malec znowu jęczeć i pisać — a że właśnie matka jego robiła jakieś poszukiwania, uważał więc Joch, że ma i drugi ważny powód do wycia. Nie mogąc doczekać się matki, zamierzał sam podążyć w kierunku kuchni, co widząc, niedźwiedzica starała się go łapą przytrzymać, ale on nietylko że się wyrwał, ale

mawet ugryzł ją. Za to należał mu się dobry klaps, Bruma jednak poprzestała na połajaniu go, i, mruczając, poszła za nim w obawie, aby mu się co złego nie stało. Joch, wystawiwszy swój czarny nosek pod wiatr, znalazł prostą drogę do kuchni i wiódł tam matkę, włączając od czasu do czasu na wierzchołek jakiego drzewa, aby obejrzeć bezpieczeństwo okolicy; stara wówczas umieszczala się pod drzewem i czekała.

Tak idąc, znaleźli się wreszcie niedaleko drzwi kuchennych. Tutaj jednak opadła odwaga malego bohatera, i, schowawszy się w koronie pobliskiego drzewa, dawał znać o swym szczególnym apetycie, wydając rozmaitego rodzaju dźwięki.

Matka zrozumiała dobrze, o co mu idzie, jednak wolałaby odciągnąć syna do lasu, ale na usiłowania jej odpowiedział malec takim przerażliwym jęczeniem, że nie było innej rady, tylko przemyśliwać nad sposobem dostania się do kuchni. Trzeba dodać, że i stara nie była wrogiem marmelady śliwkowej, a zapach jej podrażniał ją niemniej, niż syna. Ostrożnie więc podeszli pod drzwi kuchenne. Nic w tem wprawdzie nie było dziwnego, bo w parku zasada „żyć i żyć pozwolić“ była tak powszechna, że niedźwiedzie bywały w kuchni częstymi gośćmi, i dostawszy kilka smacznych kąsków, odchodziły uspokojone do lasu. Tak więc i teraz — z pewnością dostałby się Brumie i jej synowi placek śliwkowy, gdyby nie pewna niespodziewana okoliczność.

Przed kilkoma dniami kupił kucharz kota.

Była to jeszcze młodziutka kotka, ale posiadała już liczną rodzinę, z którą właśnie wygrzewała się w słońcu na ganku kuchennym, w chwili, gdy nasze niedźwiedzie wdychały miły zapach placka. Obudzona szelestem kotka otworzyła oczy i ujrzała nagle stojącego przed nią kosmatego potwora. Nie widziała ona jeszcze nigdy niedźwiedzia. Znała tylko psy, ale ten kudłaty pies przewyższał wszystkie te, które nawet we śnie widziała. Pierwszą jej myślą było uciec i zrobiła już ruch odpowiedni, ale nagle przypomniała sobie o dzieciach i zmieniła plan. Przede wszystkim myślała o ich obronie. Stała więc



na najwyższym schodku i przedstawiła się jak mogła najgroźniej. Najężyła grzbiet, ogon i wszystko, co miała, wystawiła pazury, wyszczerzyła zęby i zaczęła miauczeć zastraszająco.

Bruma, zobaczywszy niespodziewane zjawisko, stanęła i na znak zgody i poddania podniosła, zwyczajem niedźwiedzim, przednie łapy do góry. Gdy tak stała, przyjrzała się uważnie przeciwnikowi i zawstydzila się. Ona, która nie przelekła się szarego olbrzyma, miała poddać się takiemu małemu śmiesznemu stworzeniu? Jednocześnie Joch zaczął jęczeć i dopominać się o swoje. Niedźwiedzica osunęła się więc na cztery łapy i zmierzała do kuchni. Kotka zamiauczała znowu, ale Bruma nie zwracała na to uwagi.

Wtedy zamiauczało przerażone jedno z kociąt.

To wystarczało dla kotki — i w okamgnieniu osiemnaście pazurów i ostre ząbki zwierzątka utkwily w nagim nosie niedźwiedzicy, t. j. w jej najwrażliwszym miejscu. Potem kotka skoczyła jej na grzbiet, tak że niedźwiedzica nie mogła w żaden sposób użyć swych łap na obronę. Próbowala kilkakrotnie pozbyć się z grzbietu małego czarnego potworka, ale nadaremnie. Nie było więc innej rady, jak tylko uciec z tego niebezpiecznego miejsca — i Bruma puściła się zpowrotem do lasu.

Nie na wiele się to jednak zdało: kotka bowiem, rozwścieczona, nie uważała się jeszcze za zwycięzcę, i pomimo że mniemanego nieprzyjaciela wypędziła już ze swego państwa — chciała go jeszcze zgnębić. Pozostała na grzbiecie niedźwiedzicy i, wpiwszy w nią pazury i zęby, wędrowała z nią po lesie. Bruma leciała ze strachu i bólu jak szalona, a ślad za nią znaczyły kępki wydartej sierści i krople krwi. Wszelkie sposoby pozbycia się wścieklej napastnicy były bezowocne. Wreszcie, ujrawszy swego syna na wierzchołku jakiegoś drzewa, wpadła na pomysł wdrapania się na niego. Krok ten okazał się bardzo skuteczny, bo kotka, widząc się zupełnie w kraju wroga, uważała za stosowne zeskoczyć z grzbietu niedźwiedzicy. Ale nie poszła jeszcze do domu, lecz stanęła pod drzewem jakby na straży, miaucząc przeraźliwie. Kocięta, wiedzione głosem matki, przywędrowały wkrótce za nią i cała rodzina rozłożyła się pod drzewem.

Niedźwiedzie na drzewie czuły się bezpieczne, o zejściu jednak myśleć nie mogły i byłyby prawdopodobnie tam z głodu zginęły — tak mnie przynajmniej zapewniali strzelcy — gdyby kucharz hotelowy, zaniepokojony zniknięciem kotów, nie nadszedł i nie zabrał całej kociej rodziny do domu.

V.

Po raz ostatni widziałem Jocha, gdy siedział na wierzchołku drzewa i jęczał, jak zwykle, a matka jego biegła pod drzewem, jakby szukała kogoś, na kimby mogła wyrzucić swą zemstę — naturalnie nie miał to być ani szary olbrzym, ani wściekła kotka.

Było to w początku sierpnia. W czasie tym wydawała mi się niedźwiedzica inna niż dawniej, i wszyscy, którzy ją znali, twierdzili, że jest mniej przystępna, a dla Jocha mniej czuła. W końcu sierpnia dochodziło nawet do tego, że Joch pozostawał sam nieraz i pół dnia na drzewie, jęcząc i piszcząc, zupełnie opuszczony. W tym czasie wyjechałem z hotelu, ale prosiłem, żeby doniesiono mi o dalszych kolejach życia Jocha, co też nie zapomniano uczynić. Stąd wiem, jaki był koniec tragedji życiowej tego malca.

Oto pewnego ranka niedźwiedzica krążyła około kuchni, a Joch dreptał obok niej. Właśnie w tej chwili kręciła się po kuchni nowa służąca, Nora, która tylko co nastąpiła i niedźwiedzi jeszcze nie widziała. Zobaczywszy przez okno zbli-

żające się zwierzę, nie mogła w zmroku rannym rozpoznać jego kształtów i była pewna, że to cielak wyszedł z obory. Wybiegła więc na podwórze, by mniemanego cielaka zapędzić do zagrody.

Tymczasem niedźwiedzica, pamiętając straszną swą katastrofę z kotką, teraz, usłyszawszy nagły szelest, pobiegła do lasu, jak szalona, nie oglądając się. Joch, widząc to, chciał za nią lecieć, ale nie mógł nadążyć, a że matka zdawała się nie słyszeć jego nawoływań, pozostał sam i ratował się, jak zwykle w tych razach, ucieczką na drzewo. Natrafił jednak nie na jodłę, lecz na słup do trzepania dywanów, wdrapał się szybko na sam jego wierzchołek. Tutaj, zaledwie 7 stóp odległy od ziemi, rozpoczął wycie w zwykły sobie sposób. Ale nadaremnie. Matka zdawała się nie słyszeć go, tak szybko uciekała; Joch przesiedział na słupie bez ruchu aż do pełnego dnia. Służąca, zobaczywszy go w dzień, niemniej przeraziła się od swej ofiary. Na wołanie jej zebrała się służba hotelowa i postanowiono Jocha złapać żywcem.

Przyniesiono łańcuchy i obrożę i po krótkich szamotaniach założono obrożę na szyję Jochowi, a łańcuch umocowano u słupa. Gdy mały niedźwiedź poczuł się uwięziony, zaczął rzucać się, drapać i bić łapami, aż zmęczony położył się, nie zaprzestając jednak wycia i nawoływań matki. Bruma pokazała się kilkakrotnie zdaleka, ale za nic nie śmiała zbliżyć się do miejsca swej walki z kotką — i, zawróciwszy do lasu, więcej się nie

zjawiła. Jocha, swego jedynaka, pozostawiła nieznanemu losowi.

Cały prawie dzień Joch pisał i jęczał. Wieczorem był już tak głodny, że zdecydował się skosztować jedzenia, które mu podano.

W nocy zrobiło się chłodno i Joch drżał z zimna, siedząc na wierzchołku słupa; nie rozumiał jednak, że może zejść na dół i skryć się w ciepłym posłaniu, które mu przygotowano.

Drugiego dnia widziano Brumę, ale zdawała się zupełnie nie myśleć o swym pieszczołu, tak że całkowita opieka nad nim spoczywała wyłącznie na służącej hotelowej. To też zносиła mu ona wszystko, co mu tylko do życia było potrzeba. Dała mu nawet jeszcze więcej: ot pewnego dnia, gdy chciała wziąć go na ręce, a on je podrapał — dała mu klapsa, tak że rozkrzyczał się. Potem parę godzin leżał, pomrukując złośliwie, bo do takiego traktowania nie był przyzwyczajony. Ale wkońcu głód przemówił do niego — i smaczne jadlo pociągnęło.

Służąca przywiązywała się coraz bardziej do swego wychowanka, a ten po dwóch tygodniach był już tak grzeczny, że nigdy nie zasłużył na karę. Nawet zaprzestał swych piszczeń, tylko, gdy mu się jeść chciało, mruczał: „Er-r-r-r, er-r-r-r“. Zaczynał nawet być wesoły i wyprawiał różne śmieszne figle.

W połowie września Joch był już całkiem oswojonem zwierzątkiem domowem. Wprawdzie trzymano go jeszcze na łańcuchu, ale codzień pu-

szczano na parę godzin; nie uciekał wtedy jednak do lasu, jakby można było przypuszczać, ale szedł za swą przyjaciółką do kuchni i tutaj chodził za nią na dwóch łapach, co nie pozostawało bez smacznej nagrody. Z czarną kotką zawarł także przyjaźń, tak że zwierzęta te nie wyrządzały sobie wzajemnie żadnej krzywdy.

Zbliżała się zima i hotel miał być w październiku zamknięty. Przemyśliwano więc nad tem, co zrobić z Jochem. Chciano go oddać do ogrodu zoologicznego, albo puścić całkiem na wolność do lasu. Nora jednak zaprotestowała tak przeciw jednemu jak i drugimu i postanowiła go z sobą zabrać.

Ale wkrótce niedźwiedziątko zasłabło: nie mogło ono przenieść jesiennych chłódów i dostało kaszlu.

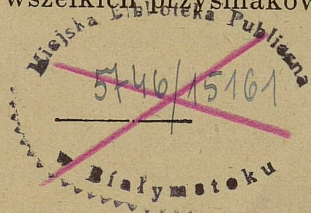
Wogóle było to słabowite stworzenie, o czem najlepiej świadczyła jedna prawie bezwładna noga. Kaszel nie zmniejszał się — przeciwnie — Joch dostał gorączki i po całych dniach leżał w koszu, straciwszy apetyt i humor.

Nora przeniosła go do kuchni, gdzie odtąd stale przebywał. W tydzień potem wydawał się zdrowszy i nawet wróciła mu dawna ciekawość. Wychodził więc z kosza i stawał w swem ulubionem miejscu, naprzeciw komina, skąd przez otwarte drzwiczki padały na niego ciepłe promienie ognia. Ale w parę dni potem znowu stał się ponury i obojętny nawet na najbardziej podniecające zapachy; kaszlał coraz więcej i pi-

szczał. Tylko na kolanach Nory czuł się dobrze i drzemał spokojnie, ale jeszcze bardziej jęczał, gdy go składała do kosza.

Wreszcie pewnego dnia, niedługo przed zamknięciem hotelu, Joch odsunął śniadanie, które zwykle zjadał i jęczał pocichutku, aż go Nora wzięła na kolana. Tu przytulił się do niej i pomrukując słabym głosem „Er-r-r-r, er-r-r-r“, zamknął oczy.

Gdy go Nora wpół godziny potem chciała położyć do kosza, spostrzegła, że czarny jej wychowanek nie poruszał się i — że stracił już na zawsze ciekawość i upodobanie do jęczenia i pieszczot, a nawet wszelkich przysmaków.



1-kl. SZKOŁA POWSZECHNA

im. A. Mickiewicza

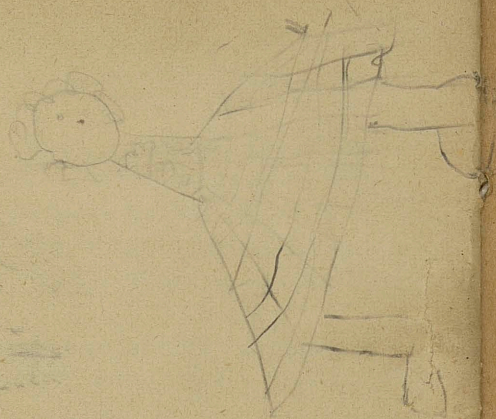
w Białymstoku

ul. Mickiewicza 10

dnia 19 p.

Nr





24-57



ZAJMUJĄCE CZYTANKI

To doskonała a tania lektura dla dzieci od lat 8—12. Są to krótkie powieści, z których każda stanowi zamkniętą całość.

To przygody, podróże, egzotyka, wynalazki, sporty, życie obywatelskie, szkolne, domowe i wszystkie sprawy, radości i troski wieku dziecięcego.

SERJA II

- | | |
|---------------------------------------|--------------------------------------|
| 51. St. Łoś. Czarny Wojtek | 57. Wł. Juskiewicz. Żółty przyjaciel |
| 52. J. Powalski. W zaklętym zamku | 58. Helm-Pirgowa. O honor sztubaka |
| 53. M. Buyno-Arcetowa. Syn policjanta | 59. Z. Jastrzębski. Powietrzny szlak |
| 54. L. Chociłowski. Złamany baguet | 60. M. Buyno-Arcetowa. Zemsta |
| 55. J. Brzostek. Związek siedmiu | 61. St. Monar. Wilcza jama |
| 56. J. M. Taylor. Zamek nad jeziorem | 62. A. Kwiecińska. Kolega z sutereny |

Każdy tomik po 50 groszy.

SERJA III

- | | |
|---|--|
| 63. J. M. Taylor. Błękitny żagiel | 69. Wł. Popławski. Stefek Błyskawica |
| 64. J. M. Burdecka. Planetoida 2100 | 70. Wł. Juskiewicz. Na łasce losu |
| 65. Z. Jastrzębski. Strażnicy morza | 71. St. Monar. Ogród białego smoka |
| 66. M. Buyno-Arcetowa. W cudzych piórkach | 72. M. Arcet in. Gadające źródło |
| 67. St. Łoś. Przygoda w Serra do Mar | 73. St. Łoś. Księżniczka Mafalda |
| 68. H. Duninówna. Przyjaciółki | 74. A. Darkowski. W śnieżnym wienieniu |

Każdy tomik po 50 groszy.

ZAJMUJĄCE CZYTANKI PRZYRODNICZE

Są dziełem wielkiego znawcy i miłośnika zwierząt, utalentowanego pisarza angielskiego, Ernesta Setona Thompsona. Jego obrazki z życia zwierząt oparte są na bezpośredniej obserwacji i głębokim zrozumieniu duszy zwierzęcia i należą bezsprzecznie do najpiękniejszych utworów, jakie w tej dziedzinie napisano.

- | | | | |
|---|--------|--|--------|
| 1. Czerwonokryzek — dzieje pewnego bażanta | gr. 50 | 7. Wilk z Winnipeg | gr. 50 |
| 2. Joch — dzieje małego niedźwiedzia | gr. 50 | 8. Chłopiec i ryś | gr. 50 |
| 3. Wully — pies owczarski | gr. 30 | 9. Czynk-Cap — dzielne psy | gr. 50 |
| 4. Śpiewak uliczny — przygody wróbla Grzmotka | gr. 50 | 10. Strzepouch — dzieje pewnego zająca | gr. 60 |
| 5. Kotka śmieciarka | gr. 60 | 11. Matka Liszka | gr. 50 |
| 6. Matka cyranka | gr. 40 | 12. Srebrnoplamik | gr. 40 |

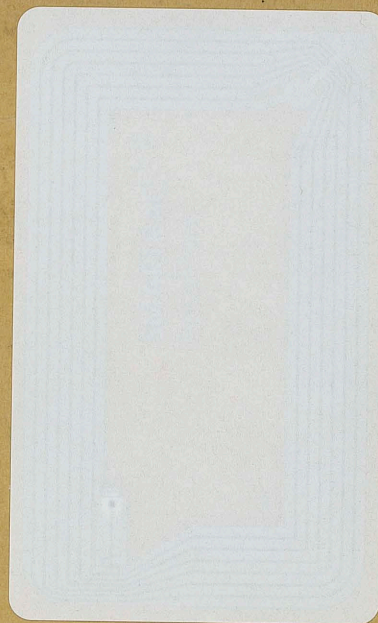
KOMPLETY PO 12 TOMIKÓW TYLKO PO ŻŁ. 5.—

[Handwritten scribbles and signatures in the top right corner of the right page.]

18

19

5600



5746

1516

J